

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 20

Katowice, 14-go maja

1933

## Czwarta niedziela po Wielkanocy.

### LEKCJA

z listu św. Jakóba Apostoła, rozdz. I, wiersz 17—21.

Najmilsi! Wszelki datek dobry i wszelki dar doskonały z wysoka jest zstępujący od Ojca światłości, u którego nie masz odmiany ani zaćmienia przemiany. Dobrowolnie bowiem porodził nas słowem prawdy, żebyśmy byli niejakiem początkiem stworzenia Jego. Wiecie bracia moi najmilsi! A niech wszelki człowiek będzie prędki ku słuchaniu, i leniwy ku gniewowi! Bo gniew męża nie sprawuje sprawiedliwości Bożej. Przeto odrzuciwszy wszelakie plugastwo, i obfitość złości, przyjmijcie w cichości słowo wszczepione, które może zbawić dusze wasze.

### EWANGELJA

u św. Jana rozdział XVI, wiersz 5—14.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów Swoich: Idę do tego, który Mnie posłał, nikt zaś z was nie pyta Mnie: „Dokąd idziesz?” Ale, że to wam powiedziałem, smutek napełnił serce wasze. Ja zaś prawdę wam mówię: Pożyteczna rzecz dla was, abym odszedł. Albowiem jeśli nie odejść. Poczieszyciel nie przyjdzie do was; ale gdy odejść, pošię Go wam. A gdy On przyjdzie, pouczy i przekona świat o grzechu i o sprawiedliwości i o sądzie. O grzechu mianowicie, dlatego, że nie wierzą we Mnie; a o sprawiedliwości, bo Ja odchodzę do Ojca, i już Mnie nie ujrzycie; o sądzie zaś: gdyż książę tego świata jest już osądzony.

Wiele mam jeszcze wam do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch prawdy, poprowadzi was do wszelkiej prawdy; albowiem nie będzie mówił od Siebie, ale cokolwiek usłyszycie: powie: i to, co nastąpi, oznajmi wam. On Mnie uwielbi, gdyż z Mego weźmie, a wam oznajmi.

### Nauka niedzielna o Duchu Świętym.

Ewangelja dzisiejsza to część mowy pożegnalnej, jaką Zbawiciel wypowiedział w Wieczerniku w czasie Ostatniej Wieczerzy. Zawiera ona głęboką naukę o trzech Osobach Bożych, ich wzajemnym stosunku i o ich działaniu nazewnątrz.

Całe dzieło stworzenia, odkupienia i uświęcenia jest wynikiem działania Trójcy św. Wszystkie trzy osoby, mając jedną naturę Boską, działają wspólnie, nazewnątrz jednak objawia się to jako działanie osobne każdej z osób Bożych. Widzimy to szcze-

gólnie przy dziele zbawienia ludzkości. Bóg Ojciec posyła Syna i pociąga ludzi do Niego. Syn Boży pouczy ich, odkupuje przez mękę i śmierć i oswobadza z niewoli szatana. Razem z Ojcem posyła Ducha Św., który udoskonala ludzi i różnemi darami ubogaca. Duch Święty zjawić się ma dopiero po odejściu ze świata Syna Bożego i dlatego Zbawiciel przedstawia to apostołom po ludzku, że gdy odejdzie, przyśle Poczieszyciela, Ducha Św. Duch Św., który przy chrzcie Pana Jezusa w Jordanie objawił się widzialnie w postaci gołębicy, ma działać nazewnątrz w Kościele Chrystusowym w ciągu wieków, prowadząc go swoim światłem poprzez ciemności tego świata.

Powiada Zbawiciel przy końcu ewangelji, że Duch Święty oznajmi apostołom to, co od Niego weźmie, a nie będzie mówił od siebie. Stwierdza tu Pan Jezus ścisłą łączność Ducha Św. ze sobą. Wynika z tego dalej, że Duch Święty pochodzi tajemniczo także od Syna Bożego, a nie od samego tylko Boga Ojca. Ponieważ zaznacza dalej Zbawiciel, że wszystko jest Jego, co posiada Ojciec, a więc przede wszystkim sama natura Boża, więc też Duch Święty pochodząc od Ojca i Syna jest prawdziwym Bogiem, trzecią osobą Trójcy świętej. Tajemnica Trójcy świętej jest najgłębszą tajemnicą naszej wiary i przyjąć ją musimy tak, jak nam ją Kościół do wierzenia podaje.

Duch Święty, gdy przyjdzie, ma według słów Pana Jezusa karać a właściwie przekonać świat o trzech rzeczach, a mianowicie po czyjej stronie jest grzech, po czyjej sprawiedliwość i na kogo spada wyrok sądowy potępienia. Ma On więc wskazać ludziom, że głównym źródłem grzechu jest niewiara w Chrystusa i odrzucenie Jego nauki. Ma pouczyć, że sprawiedliwość jest po stronie Chrystusa, który po chwalebnym zmartwychwstaniu w triumfie idzie do nieba. Wniebowstąpienie jest oczywistym dowodem Jego nieskalanej sprawiedliwości, prawdziwości Jego mesjańskiego posłannictwa. Duch Św. ma wreszcie przekonać świat, że Pan Jezus przez swoją śmierć wydarł szatanowi panowanie nad światem i że zwolennicy szatana, tak jak sam szatan, mają już gotowy wyrok potępienia. Z przyjścia Ducha Św. odniesie korzyść świat, bo się pouczy o posłannictwie Zbawiciela; odniosą korzyść uczniowie, bo się utwierdzą w prawdzie; odniesie korzyść Chrystus, bo będzie przez działanie Ducha Św. w Kościele uwielbiony.

Duch Święty będzie pocieszycielem apostołów i niezliczonych rzesz wiernych przez swoje dary duchowe, dawane w sakramentach świętych, w modlitwie i przy dobrych uczynkach.

Kościół święty mówi o Nim: Poczieszyciel najlepszy, słodki Gość duszy, słodka jej ochłoda.

Zwracajmy myśl naszą i serce często ku Duchowi Św., którego zesłania pamiętkę niedługo obchodzić będziemy. Amen.

## Marja w różach.

W ogródku stoi domek mały  
Otwarty dla każdego;  
Różami obtoczony cały,  
Wejrzenia milego.

Pielgrzym tu chętnie przvbywa,  
Zebrak ma wstęp wolny,

Królowa bowiem Majowa,  
Udziela wstęp wspólny.

Wiele dziewic i rycerzy  
W koło Niej stawają;  
Nabożnie mówią pacierze,  
Pannę wysławiają.

Niewidzialnie Aniołowie  
Łączą śpiewy swoje;  
Ach, któż wszystko to wypowie,  
Cześć i chwała Tobie.

## Męczennik za tajemnice spowiedzi.

(Św. Jan Nepomucen.)

Spowiedź w Kościele katolickim budzi mimo pewnego świętego lęku, jaki powoduje w duszach, jednak podziw i uwielbienie jako instytucja arcyważna dla ratowania dusz pojedynczych i całych społeczeństw. Z zazdrością powiedział pewien przedstawiciel kościoła protestanckiego: „Czego potrzeba naszemu kościołowi do podniesienia dusz, to spowiedzi takiej, jaka jest w Kościele katolickim.“

Tarczą obronną spowiedzi jest święty obowiązek spowiednika, zachowania w najzupełniejszej tajemnicy tego, co słytał w Sakramencie Pokuty. Za tajemnicę spowiedzi musi każdy kapłan być gotów i życie złożyć w ofierze. I pewną jest rzeczą, że wielu kapłanów znosi czasem utrapienie i prześladowanie, których źródło ludziom jest nieznanne; Bóg jeden mógłby to powiedzieć, że tem źródłem to strzeżenie sekretu spowiedzi.

Jako patrona tajemnicy spowiedzi czcimy od 600 prawie lat św. Jana Nepomucena, kanonika kapituły w Pradze. To męczennik za tę tajemnicę.

Będąc kaznodzieją przy kościele katedralnym gromił bez oglądania się na jakiegokolwiek względy panów potężnych zarówno jak lud pospolity. Słowa jego paliły winowajców jak ogień, a sprawiedliwych utwierdzały w świętem życiu. Nawet bezbożny król czeski Waclaw, gdy w roku 1380 usłyszał szereg kazań adwentowych wielkiego kaznodziei, wszedł w siebie i na jakiś czas zaniechał pijaństwa i rozpusty, a nawet mianował go jałmużnikiem nadwornym.

Królowa Zofja, druga żona Waclawa, piękna i młoda, a przytem bardzo pobożna, obrała go sobie spowiednikiem. Jego kierownictwo utrzymało ją na dobrej drodze i uchroniło od rozpacz, do której ją doprowadzało niegodziwe życie króla-małżonka. Posadzając w swoim zepsutem sercu świątobliwą królowę o niewierność, wpadł na dziki pomysł, aby wymusić u jej spowiednika zdradę tego, co na spowiedzi wyznawała.

— Za tę przysługę — mówił król — wynagrodzę cię po królewsku. Za odmowę poczujesz moją niełaske.

Gdy kilkakrotnie ponawiał takie próby daremnie, a zawsze usłyszał tylko słowa pogromu za tak bezbożne żądanie, król spełnił swoją groźbę. Przypalenie ogniem, biczowanie i inne tortury, którym przypatrywał się z lubością okrutny tyran, Jan Nepomucen zniósł z niebiańską cierpliwością.

Król, widząc niezachwianą stałość, uspokoił się narazie. Ale znając jego mściwość, wiedział świątobliwy kapłan, że rychlej czy później spotka go śmierć męczeńska. Niedługo na nią czekał.

Gdy król powtórzył swoje żądanie a spotkał się z oporem kapłana, wydał go znowu na tortury, a gdy one nie osłabiły męstwa męczennika, kazał go związać i w nocy wrzucić z mostu do Mołdawy. Z głęboką czcią lud wydobyl nazajutrz zwłoki z rzeki i pochował je w katedrze.

Naród czeski wielbi w nim od wieków patrona swojego kraju a całe chrześcijaństwo wzywa jego pośrednictwa przeciwko oszczerstwu, kapłani zaś czczą w nim męczennika tajemnicy spowiedzi.

W roku 1719 otworzono uroczyście trumnę św. Jana. Ciało zupełnie spróchniało. Został tylko świeży, rumiany, nienaruszony język. — ten język, który umiał ustrzec świętej tajemnicy.

## Duch.

Gdy przyjechałem na wakacje do X., małej wioski, położonej w „sercu kraju“, to znaczy ani nad morzem, ani w górach, westchnąłem głęboko, a po tem westchnieniu ulżyłem sobie wewnętrznem zakłębieniem na konto mej czcigodnej ciotki.

Ona to, cnotliwa, niezameżna niewiasta, spędziła w tej dziurze poprzednie wakacje i wróciła zachwycona pięknem przyrody (coś nakształt stawu, las, jak każdy inny i jeden jedyny pagórek, niestety, zajęty na cmentarz) i tutejszymi ludźmi. Ze stacji przywoził mnie jeden z nich.

Całą drogę śpiewał „mruccando“, wyjątki ze wszystkich możliwych piosenek, w przerwach spluwał na obie strony (co za szczęście, że siedziałem za nim) a poza tem kiwał się bez przerwy tak, że chwilami musiałem podpierać go z tyłu rączką mej własnej laski. Ale, o cudo, dowiózł mnie.

Pó kilku dniach zwiedziłem już całą okolicę, poznałem wszystkie piękniejsze zakątki i wszystkie miejsca pamiątkowe w rodzaju stodoly, która spaliła się zeszłego roku, stawu, w którym o mały włos nie utopił się stary Jędrzej, kiedy wracał na wesoło do domu. Zresztą dziwiłoby mnie, gdyby się zmieścił w tej kałuży. No, ale po pijanemu wszystko można.

Jeden tylko „zabytek“ został mi na sam koniec. Była to mała chata, na wzgórk, między lasem a cmentarzem. Była zawsze pusta, jedno okno wybite, strzecha zniszczona, widać było, że nikt w niej nie mieszkał, nikt o nią nie dbał.

Gospodarze, których pytałem, mówili, że popełniono tam morderstwo — starą wdowę znaleziono nieżywą i od tego czasu nikt tam nie mieszka.

Jedyny syn tej kobiety pracuje raz tu, raz tam, gdzie się trafi, a do wsi rzadko wraca. Nawet, jeżeli przyjdzie na kilka dni, to śpi u innych, a starą chatę niechętnie odwiedza. Teraz znów widziano go w okolicy, może wróci do wsi, to go poznam.

Do tego punktu wszyscy chętnie opowiadali mi historię, ale niczego więcej dowiedzieć się nie mogłem. Zauważyłem tylko, że cała wieś omija tę chatę zdaleka, że wieczorem nikt nie zjawia się w jej pobliżu. Było to dość łatwe do wytłumaczenia: chata stała tuż przy cmentarzu, popełniono w niej kiedyś morderstwo, mogło to ludzi naprawdę odstraszyć. Ale ciągle zdawało mi się, że nie opowiedziano mi całej prawdy. W tem wszystkim krwło się coś jeszcze.

Pewnego dnia zauważyłem, że wieś ma jakąś sensację. Ni stąd ni zowąd, w zwykły, roboczy dzień na drodze skupiały się gromadki ludzi i rozprawiały o czemś długo i z przejęciem.

Pod wieczór mój gospodarz miał bardzo uroczystą minę. Postanowili wtajemniczyć mnie. Oto w chacie starej Maciejowej... straszy! I to nie byle jaki duch. Maciejowa zeszła nagle z tego świata, bez przygotowania, bez Sakramentów. Nikt nie wie, kto był zbrodniarzem. Ale ona sama wie i od czasu do czasu zjawia się nocą w chacie. I cała wieś wierzy, że kiedyś wskaże swego mordercę. Tu gospodarz zniżył głos: Zeszłej nocy słyszano ją znowu. Człowiek jakiś obcy przechodził koło chaty późnym wieczorem i zapukał, żeby prosić o nocleg. Słyszał przedtem czyjeś kroki w izbie, ale mimo kilkakrotnego pukania, nikt mu nie odpowiedział. Pytał potem ludzi we wsi, co za niegościnnie gospodarz tam mieszka, nawet nie odpowie, czy może przyjąć czy nie.

A kiedy rano cała wieś wyprawiła się do chaty, nie było nikogo...

Zapadła już noc. Spytałem gospodarza, czy nie może pożyczyć mi latarni. Zamierzam spędzić noc w chacie Maciejowej.

Gospodarz przeżegnał się i spojrzał na mnie jak na warjata. Tam iść teraz!!!

Nie pomogły jego odradzania. Mruczając, przygotował latarnię.

— Pójdę choć kawalek z panem.

Zgodziłem się chętnie. Słowo się rzekło, trzeba iść, ale jakoś już zaczynałem odczuwać lęk.

Przeszliśmy przez wieś, mineliśmy małe kościółki. Nikt przy nim nie mieszkał, ksiądz dojeżdżał z sąsiedniej wsi.

— Wróćcie już, gospodarzu — mówię odważnie, a czuję, że żeby uderzają mi lekko o siebie i ręce stają się chłodne. — Wróćcie już, dalej pójdę sam.

— No, idźcie z Bogiem, panie, żeby wam się ino co nie przytrafiło.

— Weźcie latarnię ze sobą — mówię ja, żeby okazać że nie drzę tylko z zimna, a nie znam, co to strach. — Księżyc raz po raz z za chmur wygląda, to mi wystarczy.

Teraz nie napotkałem na opór. Gospodarz bał się wracać bez światła. Cieszyłem się, że mam choć rewolwer przy sobie.

Noc była wietrzna i chłodna. Dotarłem szybko do chaty. Nie była zamknięta na klucz. Wszedłem. Było zupełnie ciemno. Mimo to mógłbym poznać, że chata jest niezamieszkała. Miała jakiś specjalny zapach. Myślę, że skutkiem nieopalania przez zimę na ścianach i na podłodze pojawił się grzyb. Zapach ten w tej chwili miał w sobie coś wyraźnie cmentarnego. Byłem wściekły na siebie. Wpadło mi coś do głowy, powiedziałem bez namysłu, że pójdę, a teraz muszę siedzieć tu i czekać na ducha, który obecnie wydawał mi się o wiele więcej prawdopodobny, niż gdy tu szedł.

— Ostrożność nie zawadzi — pomyślałem i usiadłem w kącie za szafą. Duch, gdyby chciał,

mógłby mnie tu znaleźć momentalnie, duchy, jak wiadomo, mają w tym kierunku specjalne zdolności, ale zawsze czułem się lepiej w mym kącie, niż na środku izby. Mimo, że jeszcze starałem się żartować sobie z całej przygody, czułem coraz większy strach.

Minęła może godzina. W miejsce małych chmur wiatr napędził wielkie, ciężkie chmurzyska, które na dobre przysłoniły księżyc. Drzewa w lesie szumiały. Zdawało mi się, że słyszę, jak wiatr szarpie furtkę cmentarną, którą ktoś zostawił niezamkniętą. Byłem tak strasznie sam.

Gdzieś we wsi pies jakiś, widocznie podrażniony wicherem, zaczął wyć. Chwilami nie mogłem rozróżnić, czy to wycie psa, czy wicheru. Dolatywało gdzieś zdaleka, zbliżało się, zbliżało i odchodziło znów. Zdawało mi się, że to nietylko głos się zbliża, że coś idzie, idzie ku mnie, woła ludzkim głosem w wicherze, a mnie ogarnęła groza, bo wiedziałem, że przyjdzie wreszcie, że musi przyjść.

I przyszło... coś...

Usłyszałem jakieś kroki przed chatą. Ręka przesunęła się po drzwiach, szukając klamki. Drzwi się otwarły, zimny wiatr powiał po izbie, a na progu pojawił się cień.

Żeby zacisnęły mi się tak, że nie mógłbym krzyknąć, choćbym chciał. Cień tymczasem zbliżył się do łóżka, do tego łóżka, na którym zamordowana.

Zamknąłem oczy. Nie chcę widzieć nic, nie chcę słyszeć nic, to chyba jakiś koszmarny sen.

Nie, gdy otwarłem oczy, cień stał przy łóżku. Poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, a nie mógł zdobyć się na to.

— Matko — zawołał wreszcie przytłumionym głosem — matko! Wróciłem znowu. — Przerwał.

Wytrzymałem oczy. Tak, to jest przecież żywy człowiek, wysoki, silny chłop.

— Czemu mnie ciągle wołasz i każesz wracać? Każdą wieś, każde miasto muszę rzucić, żeby tu przyjść. Com ja się namodlił po kościołach, i nic. Ciągle wracać. Jabym już wołał, żeby mnie złapali i powiesili, wreszciebym spokój miał.

— Oj, matko, matko! nie chciałaś dać mi wtedy pieniędzy! ja pijany i zły, a ty stara i słaba. Oh! trzeba mi było pić?

Usiadł na ławie.

— Ja — dobry syn. I tyś tak myślała. A ja nie wiem, czemu cię zabiłem? Czy słyszysz — matko? Żyłbym porządnie, a teraz jak wilk, matko, jak wilk! Z ludźmi nie mówię, nigdzie nie staję dłużej, gnasz mnie od miasta do miasta, od wsi do wsi, o matko, matko!...

Zamilkł, zwiesił głowę i siedział tak bez ruchu. Nie przemówił już ani słowa przez całą noc, aż do świtu. O czem myślał, nie wiem.

Gdy pojaśniało, wstał, by opuścić chatę.

I wtedy zauważył mnie.

Przez chwilę patrzeliśmy na siebie bez słowa.

— Kto pan jest? — zapytał wreszcie.

— Nic wam z mego nazwiska i tak mnie nie znacie — odparłem, trzymając rękę w kieszeni z rewolwerem.

— Był pan tu przez całą noc? Słyszał pan wszystko?

— Tak.

— Niech pan się nie boi, nic panu nie zrobię. Może pan odejść.

Nie ruszałem się.

— Pójdzie pan pewnie teraz do sądu — rzekł spokojnie.

— Nie — odpowiedziałem stanowczo.  
 — Proszę, mech pan idzie. Chciałbym, żeby się to już raz skończyło.  
 — Nie wydam was — powtórzyłem.  
 — To ja sam pójdę. Pójdę zaraz do wójta. Może wreszcie będę miał spokój.  
 Wyszliśmy przed chatę.  
 Zatrzymał się na chwilę.  
 — Czy... pan umie się modlić? Jeżeli tak, to... proszę.. teraz..  
 Odszedł szybko, zbiegł niemal z pagórka. Stałem i nie ruszałem się.  
 Widziałem, jak przeszedł przez budzącą się wieś i stanął przed chatą wójta. Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł.  
 Wtedy zacząłem schodzić z wzdórza. Byłem tak przejęty, że nie wiedziałem, jak znowu powrócić do wsi, do zwykłego życia.  
 Wiejscy ludzie mieli jednak rację:  
 Stara Maciejowa wskazała swego zabójcę.

Rajmund R.

## Pierścienek panny Leontyny.

Był to mały cienki pierścienek z niebieskim turkusikiem. Panną Leontyna otrzymała go w tych dawnych latach, gdy to jeszcze była ciemnowłosa i pełną życia Leonką o świeżej twarzyczce i błyszczących, czarnych oczach. Na ślubie swej starszej siostry, która porzuciła skromny dom rodzicielski dla bogatego wdowca wędliniarza, panna Leontyna a raczej dwudziestoletnia Leonka poznała przystojnego pana Franciszka. Przystojnego i takusieńskiego samego, jak to sobie wymarzyła w swoich snach. Wysokiego, blondyna.

Pan Franciszek był pełen galanterji dla żwwej Leonki. Zaraz, na dość hucznie weselu, wywijając z nią siarczyste polki i oberki zapytał słodko:

— Jak na imię?  
 — Leontyna — pisnęła zarumieniona.  
 — Pańskie imię... — dopowiedział pan Franciszek i jeszcze zapytał:  
 — A z familji?  
 — Kwitalska.  
 — O! szlachta... końcówka ska... — wycedził pan Franciszek i coraz ognściej a przydługoo spoglądał na zarumienioną Leonkę.

W kilka dni później spotkała go niby przypadkiem na ulicy w pobliżu swego domu. Rozmowa nie kleiła się jakoś. Leonka rumieniła się co chwila, spuszczała oczy, aż wreszcie pan Franciszek jakby od niechcienia zapytał:

— Tatusz czym się zajmuje?  
 — Bryftrygier — odparła z dumą Leonka, ale przedtem to mieliśmy także duży sklep spożywczy, tylko teraz mamusia niedomaga, więc...

I zaczęła się znów rumienić, jakby ze wstydu, że za dużo powiedziała.

Rozstali się zaraz, ale już na następną niedzielę pan Franciszek, w odświeżonym ubraniu i z czupryną woniejącą od jakiejś świecącej pomady, zjawił się na feajtku u państwa Kwitalskich.

Posiedział, pogawędził i wyszedł bogatszy o jedno małe serduszek Leonki. Wkrótce zaczął przychodzić coraz częściej i coraz częściej rzucał krótkie słowa o słodczy życiu we dwoje i smutku samotnego kawalera. Wreszcie także którejs niedzieli, a było to na majówce podmiejskiej, wy-

szperał z głębi swej kieszeni mały pakiecik. Przeszując z nogi na nogę i krecąc palce aż trzeszczały, mówić zaczął słowa, od których oczy się zamykały Leonce, a dźwięczały one niby rajska muzyka:

— Panno Leontyno... ja pannę Leontynę bardzo... sama chyba wie, że od pierwszego wejścia... ja pannę Leontynę... tego...

A potem cmoknął rączkę Leonki, raz i drugi i wyraźniej dorzucił:

— W niedzielę powiem mamusi i tatusiowi panny Leontyny, a teraz proszę przyjaść... na pamiątkę... ot tak sobie, aż do zaręczyn....

I wyjąwszy z tajemniczego pakieciku mały pierścienek z niebieskim turkusikiem wsunął go na serdeczny palec zmieszanej i szczęśliwej Leonki.

Dlaczego się stał inaczej i jak było dalej, to dla panny Leontyny miało być nigdy nie wyjaśnioną zagadką.

Bo... po tej pięknej majówce i na następną niedzielę pan Franciszek nie pokazał się więcej. Ale panna Leontyna czekała jeszcze kilka, potem kilka naście niedziel. Złośliwi utrzymywali wprawdzie, że pan Franciszek miał rozmowę z tatusiem i dowiedziawszy się, że panna goła jak święty turecki czmychnął sobie najwyraźniej w świecie. Panna Leontyna nie wierzyła jednak temu i choć piękne czarne oczy często mokre bywały od łez, czekała dalej. Dopiero, kiedy dowiedziała się w jakiej pół roku, że pan Franciszek powiódł do ołtarza bogatą młynarzównę szpetną i chudą, jak nie przymierzając tyka chmielowa, ale posażną, panna Leontyna przestała czekać. Spoglądała tylko z żalem na mały pierścienek z turkusikiem, który tkwił na serdecznym palcu i wdychała boleśnie choć krótko.

Bo już i czasu biedaczka nie miała. Wkrótce, zanim panna Leontyna z bólu otrząsnąć się mogła zmarł tatus-bryftrygier, a za nim niedługo mamusia. Panna Leontyna wziąć się musiała do pracy na swoje utrzymanie. Z początku haftowała bieliznę w dużym magazynie, potem w pralni prasowała sztywne gorsy i kołnierzyki, a wreszcie, gdy szwagier wędliniarz przeniósł się do wieczności, przeprowadziła się na stałe do owdowiałej siostry.

I podczas gdy ta całe dnie ważyła kiełbasę i krajała różne wyczyny sztuki masarskiej, panna Leontyna myła, czesała, ubierała jej pięcioro dzieci, gotowała śniadania, obiady, kolacje, zmywała statki, uprzątała mieszkanie a wszystko to czyniła w towarzystwie owego pierścienka z niebieskim turkusikiem. Siostra patrzyła na to krzywo i mówiła często:

— A rzuć-że to Leoncia, masz też co przechowywać. Smyk był pierwszej wody i skończona parada! Sprzedaj to, albo co, zawsze parę groszy będzie. Jest nawet po kim tak szkodować!

I wykrzywiła pogardliwie usta, pulchnemi rękami giestykując przed siostrą. Ale panna Leontyna potakiwała, kiwała głową i.. nosiła dalej swój mały pierścienek z niebieskim turkusikiem.

Potem przyszła wojna, niedostatek, drożyzna. Siostra nie mogła sobie dać rady, biedowała i ledwo koniec z końcem mogła związać. To też panna Leontyna nie miewała już ani grosza z jej łaski i literalnie świeciła w swych połatanych i wytartych spódnicach. Wtedy znów mówiła otyła wdowa po wędliniarzu:

— Zaniósłabyś to do żyda i nabrała za to na jakąś spódniczyne. Starsz już a głupia i kwita. Bo i po co to nosić?

(Dokończenie nastąpi.)